

Małgorzata Gmyrek-Bugała



Nie dam się!!!

Witam, mam na imię Małgorzata. Moje koleżanki z pracy od zawsze mówiły o mnie „te dwie”. I tak chyba naprawdę jest, są we mnie dwie osobowości. Według horoskopów tak mają Bliźnięta, ale ja jestem spod znaku Lwa, tak, właśnie tego walecznego lwa.

Mam 57 lat, lecz gdy dopadła mnie ta „plaga egipska”, miałam 54 lata. Wtedy cały ten mój poukładany świat runął. Rozszalały się moje emocje. Myśli płynęły jak wzburzone morze. Pytania cisnęły się na usta. Dlaczego ja? Dlaczego mnie to spotkało? Czym Boże zawiniłam, żeś mnie tak pokarał? Czy mało mnie jeszcze los doświadczył?

Widocznie tak miało być. Jeszcze raz miałam udowodnić światu, że jestem silna, że poradzę sobie.

Pamiętam, jak poszłam do szpitala na rutynowe badania. Właśnie wtedy minęło 10 lat od przebytego zawału serca. Mój organizm zaczął się trochę buntować i trzeba było sprawdzić, co mu jest. Zakres badań był bardzo szeroki, między innymi rutynowe prześwietlenie klatki piersiowej. I co? I szok! Pani doktor poprosiła mnie na rozmowę w cztery oczy. Powiedziała mi, że mam raka. Ja na to – co proszę? Nie, to jest stent, który założono mi podczas zawału serca, gdy leżałam na stole operacyjnym. Pani doktor popatrzyła na mnie i powiedziała – nie, stent jest z lewej strony, a zmiana, czyli rak, jest z prawej.

Dokładna diagnoza brzmiała rak złośliwy płuca prawego. Ludzie święci, jak, co, dlaczego? Uśmiech natychmiast znikł z mojej twarzy. Zaraz pojawiły się myśli. No tak, moja mama żyła tylko 55 lat, więc chyba czas i na mnie przyszedł. Jednocześnie się buntowałam. Ja nie chcę umierać. Jeszcze tyle rzeczy mam do zrobienia. Tyle rzeczy do przeżycia. Tyle rzeczy do odkrycia, mimo tego, że cały mój świat w jednej chwili się zawalił.

Czas pobytu w szpitalu i badań zbliżał się do końca. Czasami myślałam – po co dalej się leczyć, skoro i tak niewiele życia mi zostało? Ale zdarzył się cud. **Na mojej drodze stało grono dobrych ludzi.** Nie uwierzycie. Na samym początku, jeszcze w szpitalu natknęłam się na panią doktor, której mąż był torakochirurgiem w szpitalu wojskowym. Ta pani doktor zabrała moje dokumenty z wynikami badań do domu, żeby pokazać swojemu mężowi i zasięgnąć jego opinii. Czekałam z niecierpliwością i usłyszałam cudowną wiadomość.

Po konsultacji z mężem pani doktor oświadczyła mi, że jej mąż podjął się operacji usunięcia mojego guza.

Między tą niepomyślną dla mnie diagnozą, a szansą operacji i usunięcia tego „wyhodowanego dodatku” upłynęło 2 tygodnie. Moje dni zaczęły płynąć szybko jak obłoki na niebie. Euforia zaczęła narastać. Radość, że może się wszystko dobrze ułożyć, że może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – w myśl starego przysłowia. Uwierzyłam w opiekę moich bliskich zmarłych – mamy, taty, męża. **Operacja się udała.**



Autorka z przyjaciółką poznaną w stowarzyszeniu, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”

Przedemną były jeszcze chemio- i radioterapia. Moje koleżanki z pracy cały czas mnie wspierały, razem ze mną przeżywały wszystkie moje złe i dobre chwile. To niesamowite, jak wiele ciepła, współczucia i troski doświadczyłam od nich. Nigdy tego nie zapomnę! To jest kolejny cud, który mnie spotkał. Jak wiele znaczy czyjeś wsparcie wie tylko ten, kto doświadcza choroby nowotworowej. Kolejne etapy leczenia przeszłam bardzo ciężko. Chemioterapia prawie mnie wykończyła. Lekarze musieli przerwać po trzecim cyklu podawania chemii, gdyż mogłam tego nie przeżyć. Ale przeżyłam. Radioterapię też przeżyłam. Potem na mojej drodze stanęły kolejne osoby, które podały mi pomocną dłoń.



Autorka podczas gry w golfa, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”



Autorka w trakcie warsztatów psychologicznych, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”

I tak znalazłam się w Stowarzyszeniu Pomocy Chorym Onkologicznie „Różowe Okulary”.

Od momentu zdiagnozowania mojego przypadku minęły już trzy lata. Z perspektywy czasu, który upłynął, myślę, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Dzięki chorobie poznałam wielu nowych ludzi. **Nawiązałam wiele nowych przyjacieli.** Przeżyłam wiele radosnych chwil. To nic, że na skutek chemioterapii mam częściowo uszkodzony słuch, że lista „dodatkowych chorób” się wydłuża. Żyję i to jest najważniejsze. Moje wnuki rosną. Myślę, że zapomniały już, jak wyglądała ich babcia bez włosów, która była cieniem człowieka. **Teraz jestem „zdrowa”, radosna i pełna życia.** Tamten okres porównuję do przeziębienia, grypy lub innej błażej choroby, którą po prostu trzeba przejść, o której można „szybko” zapomnieć. Nie trzeba myśleć, że to koniec, a jedynie, że przed nami dużo do zrobienia. Nikt z nas nie wie, ile mu jeszcze zostało czasu do przeżycia. Starajmy się przeżyć go dobrze i w pełni wykorzystać. O chorobie mówię, że to „przypadłość”. Tak to najlepiej określać. Nie lubię mówić „rak”, bo to słowo mnie dołuje.



1) Praca plastyczna autorki wykonana podczas warsztatów, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”

2) Autorka podczas gry w golfa, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”

W „Różowych Okularach” znalazłam ciepło, zrozumienie, wsparcie, pomoc, zainteresowanie i wiele, wiele innych rzeczy, które w takiej chorobie są nieocenione. Lubię eksperymenty z moim wyglądem. I jak tylko odrosły mi moje włosy, to z przyjemnością brałam udział w „Dniach piękności”, dla pacjentek onkologicznych. Lubię chodzić na zajęcia w Stowarzyszeniu. Na różnego rodzaju warsztatach, które pozwalają na moje kreatywne wyżycie się, uczę się ciągle czegoś nowego. Mam zdolności manualne, które mogę tam rozwijać. Ale pamiętam, że tak niedawno przeżywałam chwilę załamania psychicznego, a nawet osiągnęłam dno psychiczne. Byłam zdesperowana, żyć mi się nie chciało. Tak wówczas myślałam. Podźwignęłam się z załamania psychicznego. Taki mam charakter. Podświadomie dążyłam do wyzdrowienia. Podejmuję wiele wyzwań w miarę, jak mi zdro-



Pokaz mody, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”



wie pozwala. I są efekty moich działań. Przedmioty, które samodzielnie zrobiłam. Zrobione przeze mnie rzeczy chętnie rozdaję. Cieszę się, że moje wnuki noszą rzeczy, które im podarowałam i mówią, że to ich babcia wykonała. Kolejnym moim sukcesem był dwukrotny udział w pokazach mody organizowanych przez Stowarzyszenie „Różowe Okulary”, w których uczestniczyłam jako modelka. Ja, kobieta lat 57, przechadzałam się po prawdziwym wybiegu i prezentowałam ubrania i stroje kąpielowe. Uczę się grać w golfa, chodzę na zajęcia z aqua aerobiku, podczas których przełamalam swój lęk przed wodą. Wyjeżdżam na warsztaty integracyjne, na których poznałam i nadal poznaję wiele ciekawych ludzi. Nawiązały się między nami przyjaźnie. **Pamiętajcie, nie należy się zamykać w swojej chorobie, jak ślimak w skorupie.** Człowiek jest „zwierzęciem stadnym” i potrzebuje innych ludzi. Łatwiej jest żyć wiedząc, że jest koło nas ktoś, kto to samo czuje, kto przeżył taki sam „koszmar”.



Autorka podczas „Dni Piękności”, fot. archiwum Stowarzyszenia „Różowe Okulary”

Nie zamykajcie się w sobie. Życie jest piękne. Nie jest ważne, ile go jeszcze przed nami zostało. Nauka idzie do przodu, może niedługo znajdzie się stuprocentowe lekarstwo na tego „kolegę”? **Zróbmy mu na złość – nie dajmy się!** Tego Wam i sobie z całego serca życzę.

„Ciągłe jeszcze istnieją wśród nas anioły. Nie mają wprawdzie żadnych skrzydeł, lecz ich serce jest bezpiecznym portem dla wszystkich, którzy są w potrzebie. Wyciągają ręce i proponują swoją przyjaźń...”

Phil Bosmans (1922-2012)